PRAWDA

Pismo tygodniowe.

Nie przyszedłem dawać pokoju, ale miecz. MAT. X, 34.

Rok XXXIV Nr. 23. *Warszawa, 6 czerwca 1914.* Widok 3.

L. BRUNN.

Organizatorzy i rozkazodawcy.

W chwili obecnej znajduje się w naszym kraju miljon rąk roboczych niezatrudnionych i trzysta miljonów rubli leżących bezużytecznie. Drugie tyle rąk i pieniędzy pracuje pod obcą komendą i na korzyść obcą. Stwierdzenie tego faktu wprowadza nas odrazu w sam środek całego splotu kwestji, związanych z obroną bytu narodowego i z dążeniem ku lepszej przyszłości.

Podległość polityczna narodu polskiego idzie, niestety, w parze z jego podległością gospodarczą. Nadomiar, nie wszyscy zdają sobie sprawę z rozmiarów upośledzenia naszego w tej dziedzinie. Dopiero w ostatnich latach poczęło w głowach polskich świtać przekonanie, że *zwierzchnictwo gospodarcze* jest dla każdego narodu w dzisiejszych czasach niemniej cenną rzeczą, niż zwierzchnictwo polityczne. Lecz od częściowego zrozumienia tej sprawy do zupełnego jej rozwiązania niezmiernie jeszcze daleko. Leży tu odłogiem pole pracy twórczej dla kilku pokoleń, które muszą wyłonić z siebie dobór jednostek i grup, zdolnych do funkcji naczelnych w życiu gospodarczym.

***

Główną naszą słabością w tej dziedzinie jest brak elity własnej, brak licznego zastępu *organizatorów* i *rozkazodawców*, którzyby mogli stanąć na czele mnogich kroci tysięcy ludzi, żądnych pracy, i mnogich setek miljonów rubli, żądnych obrotu.

Nieodwołalnie minęły czasy, kiedy naczelne funkcje w narodzie pełniła arystokracja, górując nieraz nad królewskim tronem. Stwierdzono już dobitnie, że w teraźniejszym życiu społecznym i narodowym ludzie ci są — nieobecni. Na stwierdzeniu tego faktu poprzestać nie można. Zamiast elity zwyrodniałej i zdegradowanej, elity świetnych imion i tytułów dziedzicznych, musi nowoczesna Polska wytworzyć, drogą stopniowego doboru, elitę zdolności i zasług osobistych, pod której przewodem dokona się mobilizacja polskich sił wytwórczych.

Z natury więc rzeczy powołany będzie do tego żywioł mieszczański, ten sam żywioł, który w oczach różnych doktrynerów skrajnej lewicy dotąd uchodzi za wcielenie reakcji.

***

Życie współczesne, bardzo złożone i rozlewne, w drobnych nawet przejawach wymaga współdziałania znacznej liczby ludzi. Współdziałanie znowuż wymaga ścisłego podziału pracy i pewnej dyscypliny, a więc i komendy. Nie może być obojętne dla narodu, kto tu komenderuje, w jakim celu i w jakim języku... Wilhelm II, mimo swój feodalizm gotycki i swój mistycyzm religijny, jest o tyle człowiekiem współczesnym, że stawia obok siebie na stopniach tronu wielkich organizatorów i rozkazodawców swego państwa, w rodzaju von Thyssena, Ballina, Kruppa, Henckela

von Donnersmarck'a i Mannesmanna. W angielskiej Izbie Lordów, obok najdumniejszej na świecie arystokracji, zjawiły się w ciągu XIX wieku tchnące energją i siłą postaci wielkich mieszczan, przemysłowców i kupców, często gminnego pochodzenia.

Ten pochód jednostek doborowych ku szczytom organizacji naczelnej czyli państwa, wyrusza z nizin społecznych, poprzez liczne kondygnacje pomniejszych, prywatnych organizacji, z których każda wymaga pewnych funkcji zwierzchniczych, pewnych władz naczelnych, sprawowanych przez dobór jednostek, umiejących rozkazywać i rządzić. Każdy majątek ziemski, każda fabryka, każdy dom handlowy, kazda pracownia, szkoła, każda wogóle organizacja wymaga sztuki rządzenia. Grono jednostek, umiejących sprężyście zarządzać wielkim bankiem akcyjnym, trustem kolejowym lub kopalnią węgla — potrafi również wziąć na siebie brzemię władzy naczelnej miasta, prowincji i państwa. Właściwym więc mężem stanu nie zawsze jest postać urzędowa; zwierzchnictwo narodowe składa się z tysiąca władz poszczególnych; żywioł, który potrafi skupić je i utrzymać w swych rękach będzie nawet w niepomyślnych dla siebie warunkach politycznych odgrywał rolę naczelną.

Ażeby zdać sobie sprawę z ogromnej skali nierówności, wytworzonych między ludźmi przez dobór bądź naturalny, bądź sztuczny — wystarczy rzut oka na terytorjum Stanów Zjednoczonych Am. Półn., gdzie każdy odłam ludzkości wypisał sobie odpowiednie świadectwo, niby na olbrzymiej, białej karcie.

W kadrach teoretycznej równości piętrzy się tam hierarchja, sięgająca zawrotnych wyżyn.

Najniższą jej kondygnację tworzą właśnie prawi właściciele tej ziemi, pierwotni jej mieszkańcy czerwono-skórzy, których nieliczne gromady tułają się po stepach Far-West'u; koczownicy ci, zgoła niezdolni do życia w nowoczesnych warunkach, wymarliby z głodu doszczętnie, gdyby rząd Unji amerykańskiej nie otoczył ich troskliwą pieczą, nakształt rzadkich okazów fauny ginącej; wyznaczono im więc odrębne terytorja, gdzie mogą trudnić się myśliwstwem; żeby zaś nie zabrakło im zwierzyny, wpędza się tam, co czas pewien, wielkie stada bydła. W ten sposób wloką Indjanie swój mizerny żywot; ostatni więc Mohikanie nie giną w orężnej walce, lecz dogorywają w ciszy i spokoju.

Nieco wyżej stoi ludność murzyńska, która nietylko nie wymiera, lecz rośnie w liczbę, przyczym jednak jej ciężar gatunkowy nie powiększa się wcale lub bardzo nieznacznie. Murzyn, dawniej pracujący pod przymusem, pracuje i dziś niechętnie, dorywczo; trudno zmusić do pracy murzyna, który podjadł sobie i podpił, a czuje dolara w kieszeni. Murzyn pracuje, czym wyższy jest od Indjanina, ale nie oszczędza na czarną godzinę, czym różni się od ludzi białych.

Na trzecim stopniu z kolei mieszczą się tłumy wychodźców ze Starego Świata, trudniących się pracą najemną i cierpliwie a wytrwale ciułających grosz do grosza z myślą powrotu do ojczyzny; ludzie tej sfery rzadko wybiegają nad poziom pracy ręcznej i prawie nigdy nie dochodzą do funkcji naczelnych; są to przeważnie wyrobnicy i małorolni chłopi z Włoch, Polski, Litwy...

Stanowiska pośrednie zajmują wychodźcy irlandzcy, niemieccy, skandynawscy, którzy wkraczają na teren walki o byt w mniej lub więcej kompletnym uzbrojeniu; właściwa jednak elita, górująca nad chaotyczną mieszaniną ras i zdolności, składa się prawie wyłącznie z potomków angielskich i szkockich rodzin purytańskich, gdzie świecą takie potężne postaci jak Washington, Franklin, Lincoln, Edison, Carnegie i Morgan, będące wcieleniem cnót i zalet, potrzebnych do władania wielkimi obszarami ziemi, wielkiemi gromadami ludzi i wielkiemi górami złota.

***

W społeczeństwach demokratycznych, gdzie niema hierarchji wspartej na przywilejach dziedzicznych, widoczniejszą się staje przez to rola jednostek i grup doborowych. Demokracja, rozbita na kurz atomów pod hasłem równości bezwzględnej byłaby nieforemną kupą piasku, na której osiadłby ciężko Moloch ogromnego państwa. To też idąc za głosem zbawczego instynktu, poczęła się demokracja francuska formować we własnych kadrach, budując nowe syndykaty, związki, stowarzyszenia na gruzach rozbitych cechów,

wznosząc własną elitę zasługi i pracy na miejscu dawnej elity tytułów i urodzeń. Zarówno istnienie we Francji licznej masonerji która skupia wszystkie jednostki wybitne, jak istnienie Legji Honorowej która w rejestrach swych mieści nową jakby arystokrację — wreszcie znana francuska żądza orderów i wstążeczek jako widocznych dla wszystkich oznak wyższości — świadczy, że każda gromada ludzka segreguje się bezwiednie i samorzutnie według doboru jednostek.

W krajach, jak Anglja i Niemcy opartych na odwiecznych zasadach hierarchji feodalnej, lecz pod względem gospodarczym uzgodnionych z duchem czasu — wybujała nowa hierarchja ludzi gminnego często pochodzenia, ludzi przedsiębiorczych, energicznych, twórczych — organizatorów i rozkazodawców.

W Anglji samorząd lokalny wymknął się w r. 1884 z rąk nobliwych *squirów*, zaś *deminutio capitis* wysokiej Izby Lordów na rzecz mieszczańskiej Izby Gmin jest wypadkiem znamiennym świeżej daty.

W Niemczech, spieniona fala rozwoju handlu i przemysłu podbija w górę nowe potęgi; zetrzeć się one muszą nieodwołalnie z elitą junkiersko-wojskową, która despotyczne dotąd sprawuje rządy.

Wreszcie w państwie rosyjskim, gdzie przemysł organizuje się i rozwija głównie siłami cudzoziemców i gdzie wskutek tego potężnieje wciąż obca elita, której ludność rdzenna dorównać nie może — widzimy czysto biurokratyczne próby skasowania skutków tego doboru drogą «nacjonalizacji kredytu» i różnych ograniczeń.

* * *

Upośledzenie ludności rdzennej, wdrożonej do wykonywania rozkazów obcej elity, występuje na ziemiach polskich niezwykle jaskrawo i dobitnie. Wskutek lenistwa i opieszałości rdzennych swoich mieszkańców, nie bez wpływu zresztą warunków politycznych, stała się Polska terenem, po którym setki obcych konkwistadorów hasają samopas, gromadząc miljony rabunkowym wyzyskiem pracy i bogactw przyrodzonych. Tym się tłómaczy, że mimo dość rozwiniętego przemysłu i handlu w Królestwie Polskim, poziom przeciętnej zamożności tego kraju jest nienormalnie nizki. Potoki złota przepływają mimo nas w obce, nastawione dłonie. Obok zależności politycznej wytwarza się i pogłębia *zależność drugiego stopnia*, zależność ekonomiczna i społeczna od obcych potęg władczych, którym nie możemy dotąd przeciwstawić własnej równorzędnej elity rozkazodawców i organizatorów życia. W ten sposób rodzi się i powszednieje typ ujemny Polaka, żyjącego w podwójnej zależności, wdrożonego już tylko do słuchania rozkazów, a niezdolnego rządzić, organizować i rozkazywać. Jak dawniej umieli Polacy dokazywać cudów odwagi i waleczności pod okiem Napoleona, podobnie i dziś pracownik polski umie zdobyć się na wielką wydajność pracy jedynie pod obcą komendą.

Rzeczywistą Pracą Organiczną, nieodzowną dla zdrowia narodu, będzie ta, która przerwie ten zastraszający zanik duszy i myśli niezależnej i formować zacznie nowe kadry elity, zdolnej przewodzić masom i organizować armie pracy na swojej ziemi.

ORION.

Echa Prawdy.

I. Kanarek w trupiarni. II. Studja u obcych.

I. Gdy w obozie prasy ugodowej rozbrzmiewa głos p. Bohdana Straszewicza, — młodzieńca dwudziestoparoletniego, — zdaje nam się wówczas, że to śpiew kanarka słychać... w trupiarni.

Takim ten głos młody rzewnym bije wdziękiem naiwności, tyle w nim jest dobrej acz bezradnej woli, pod pozorami przybranej dyplomacji, że, doprawdy, serce się kraje, patrząc, jak ta młodość roztrąca skrzydła swe o zgniliznę i martwotę.

A gdy na trybunie stając ugodowej, ten młodzieniec powiada o sobie: My Realiści, to... zapewne, trzeba pochwalić go, że trupa udaje po mistrzowsku (młodość i to potrafi!), ale przedstawiciela realizmu, mimo to, uznać w nim nie możemy. Nie! panie Straszewicz! Można odziedziczyć nazwisko, przekonania po ojcu, zawód, można odziedziczyć nawet nałogi, ale... starości odziedziczyć nie można.

To też, co do nas, to raczej skłonni jesteśmy w młodym p. Straszewiczu widzieć ofiarę realizmu i ugodowości: ofiarę, nie zaś przedstawiciela.

Dlatego artykuły jego, aczkolwiek pozbawione sensu, być mogą interesujące: każdy z nich jest jakby mapą spustoszeń, dokonanych na młodym umyśle przez toksyny szkoły p. Piltza i Sp. Na umyśle młodym i — na sercu.

P. Bohdan Straszewicz stwierdza swą przynależność do obozu konserwatystów. Popisuje się realizmem. Zamieszcza w pismach ugodowych artykuły, w których próbuje «oburzać się» na nasze wobec samorządu stanowisko. Uprawiając flirt z Rosją konserwatywną, słowem, stara się nas p. B. Straszewicz przekonać, że z flirtu tego naród polski wielkie odnieść może korzyści. Takie jest, istotnie, *Credo* polityki ugodowej.

A jak się przedstawia rzeczywistość?

«Odrzucenie samorządu — pisze p. B. Straszewicz w *Dzienniku Polskim* — przyjęliśmy, jako klęskę i odczuliśmy boleśnie. Niektórym z nas (realistów) wyrwały się wtedy słowa szczerego oburzenia, za które prawdopodobnie drogo zapłacą...»

Czy być może? Także to więc płynie rozkosz jedyna z owego flirtu?

P. B. Straszewicz chce nas zjednać dla polityki ugodowej; zaręcza nam, że romansować z biurokracją to — rzecz nadzwyczaj słodka; i na dowód, jak bardzo słodka, pokazuje... czyjeś wychłostane plecy, i płacze, że to boli, że to musi bardzo boleć...

Tak wygląda konsekwencja myślowa w działalności p. B. Straszewicza.

Ale świadectwo gorsze, niż swej logice, wystawia p. B. Straszewicz dziedzinie uczuć swych i swej woli: poprostu—swemu młodzieńczemu wstydowi. Jakże bo wstyd swój poniewiera człowiek, który uważa za możliwe chlubić się raną, odniesioną przypadkiem i — niezasłużenie. *Martyr malgré lui:* ależ to najkomiczniejsza pod słońcem polskiej krotochwili postać!..

A przytym, o ile nas pamięć nie myli, to nie p. Bohdan Straszewicz tę ranę otrzymał: nie jemu wyrwało się to «słowo szczerego oburzenia», więc i nie on uczestniczyć będzie w chwale owego «męczeństwa». Na głowę p. B. Straszewicza spadały kary i konfiskaty, ale z innego powodu, nie za artykuły ostatnie w sprawie odrzucenia samorządu. Na kogóż zresztą nie spadały kary? Krzyż — jak mówi Nietzsche — nie jest żadnym argumentem.

Naszym zdaniem, żebranina nie licuje z godnością człowieka zarówno w dziedzinie materjalnej, jak i moralnej. Żyć o żebranym chlebie jest rzeczą równie małochlubną jak żyć o żebranej aureoli męczeństwa.

W końcu mała uwaga. Wyjaśnienie w cztery oczy. P. Bohdan Straszewicz skarży się na nasz śmiech, «śmiech zły, zjadliwy bolący». Niechże się p. Straszewicz tego śmiechu nie lęka. Niech się weń wsłucha głębiej: wówczas pozna on, że śmiech ten więcej czasem kosztuje, niźli łzy, zwłaszcza — niźli łzy kanarka. Niechże się wsłucha weń, a, być może, zbawienną dla się posłyszy w nim radę. Dowie się, że na ból, jaki zadano ze strony «miarodajnej» bądź jemu, bądź jego towarzyszom, nie pomogą ani ziółka, ani ciepłe okłady. Dowie się, że na cierpienia drobne i niezasłużone tylko jedno jest lekarstwo skuteczne: cierpienie większe i zasłużone.

II. Na łamach *Runi*, dwutygodnika poświęconego sprawom młodzieży i wydawanego przez młodzież, w przeciągu kilku ostatnich tygodni toczył się spór ciekawy: o wartość studjów u obcych oraz o wpływie oddziaływań środowisk zagranicznych na młodzież naszą, która po zdobyciu wiedzy wyższej udaje się do Belgji, Francji, Szwajcarji i Anglji.

Uczestnikami sporu są jednostki kompetentne: przeważnie studenci, znający zagranicę, jej ogniska kulturalne i oświatowe, na podstawie własnych spostrzeżeń i doświadczeń. Dlatego też sądy ich zasługują na uwagę, aczkolwiek są to sądy sprzeczne: ta sprzeność atoli daje właśnie najlepsze świadectwo bezpośredności wrażeń. Każdy mówi o tym, co sam widział, co sam słyszał: w uogólnieniach może błądzić i podlegać krytyce, w stwierdzeniu faktów miewa bezwarunkową słuszność.

Za punkt wyjścia dla polemiki posłużył pełen niepokoju i powątpiewania głos pana W., który snadź w nie obiecującym obracał się towarzystwie kolegów, skoro pisze: «Minęło już lat kilka. Za granicę jechały i jadą jeszcze zastępy młodzieży. Wracają już i do kraju dość liczni po długich, często zbyt długich studjach. Z jakim plonem wracają? Jakie zasoby wiedzy i doświadczenia ze sobą wiozą, ile energji i chęci do pracy posiadają? Niestety, znajomość wielu środowisk studenckich w Europie Zachodniej, ich trybu życia, każe nam stwierdzić, że przesadne były nasze nadzieje.»

Zdaniem p. W. «dla ogółu młodzieży, specjalnie przez pierwsze lata życia akademickiego, są jedynie polskie uczelnie wskazane». Albowiem: «przy rozważaniu dobrych stron wyjazdów zagranicę, zapomnieliśmy o ogromnej wychowawczej roli, jaką odgrywa pobyt we własnym środowisku i o wpływie, jaki wywiera ono na młodych ludzi, ani zbyt ograniczonych, ani całkiem egoistycznych, ale takich, którzy muszą być w prądzie, iść masą, by życie ich nie przeszło bez użytku dla społeczeństwa».

W tej ostatniej trosce i w przeświadczeniu o niczym niezastąpionej roli środowiska rodzimego w kształtowaniu ducha młodzieży jest i głęboka myśl obywatelska i trafność intuicji.

Atoli rzeczywistość nasza stawia nas w warunki tak twarde, iż bynajmniej nie daje nam

możności swobodnego wyboru: możności wyboru śród rzeczy dobrych rzeczy najlepszej. My z pośród rzeczy złych musimy wybierać tę, która jest najmniej zła i szkodliwa.

Uważamy więc za argument zbyteczny poniżanie Królestwa, aby uwydatnić wyższość środowisk Zachodu. Był to argument najtańszy, jaki nasuwał się w polemice z p. W. i szkoda niezmierna, że p. S. W. Jankowski, na tychże łamach *Runi* koledze odpowiadając, nie zdołał odeń się powstrzymać. Królestwo, pod względem kultury umysłowej i moralnej, podupadło w latach ostatnich dla tego właśnie, że nie posiada w łonie swoim życia akademickiego. Nie można więc w argumentacji powoływać się, jako na przyczynę, na to, co jest w istocie skutkiem i następstwem. Sądzimy wszakże, iż wogóle nie należy Królestwa zamieszczać na linji porównania. Jeśli porównywać można i należy, to tylko porównywać Galicję z Zachodem, bo Galicja jedna posiada polskie wszechnice i akademje. Z tego porównania, jeśli chodzi o wartość wychowawczą, niezawodnie wyjść może zwycięsko tylko—Galicja. I do niej też przedewszystkim kierować się winna fala młodzieży z Królestwa. Nie wyłącznie na studja literacko-filozoficzne, jak się dotąd przeważnie działo, ale i po wiedzę zawodową, w różnych gałęziach przemysłu, wytwórstwa i handlu. Ale tu rodzi się pytanie: czy Galicja posiada dość szkół wyższych, aby zadośćuczynić potrzebom gromadnej emigracji? Czy posiada szkoły dość różnostronne, dość specjalne i praktyczne? Wobec pytania tego powstają wątpliwości, a stąd prawie nieprzebyta, na okres obecny potrzeba posiłkowania się wiedzą oraz instytucjami obcymi na Zachodzie. Jakiemu miastu, jakiemu środowisku dać w Europie pierwszeństwo? Jechać do Paryża, czy do Brukseli, do Oxfordu, czy do Genewy? Każdy z tych centrów obcych ma swoje złe i dobre strony. Pan S. W. Jankowski nie radzi chłopcom młodym rozpoczynać od Paryża.

«Młodzież początkująca, świeżo puszczona w świat, — przestrzega on — znalazłszy się w tym oszałamiającym rozgardjaszu, gubi się w nim całkowicie. I niech mówią, co chcą wielbiciele kultury paryskiej, jedno jest faktem, że wzamian za uzyskane wykształcenie Paryż ściąga z młodzieży ciężką daninę w postaci najgłówniejszy cnót charakteru: energji, hartu, męstwa». Pan J., sam przebywając w Oxfordzie, radby naszą młodzież widzieć jak najliczniejszą w Anglji. Anglja, powiada on, jest dla nas, Polaków, jako środowisko wychowawcze najbardziej pożądana: ona daje zdrowie, hart, żywotność, dzielność, a tego właśnie najbardziej nam potrzeba. Autor, oczywiście, ma tu na myśli bogato rozwinięte na gruncie angielskim sporty, ćwiczenia, uprawę przedsiębiorczości osobistej i inicjatywy. O potrzebie wlania w formę sportów angielskich własnej naszej idei polskiej, o przystosowanie cnót charakteru angielskiego do potrzeb i gospodarki naszego życia narodowego, naszej niedoli krajowej, mówi trzeci z kolei uczestnik rozpraw p. Szwajcar występujący przeciwko jednostronnościom kultury angielskiej.

Są to rozprawy płodne i pożyteczne. Bije w nich tętno życia i spostrzegawczości. Coby do nich dodać należało, celem ich uzupełnienia, to obraz niebezpieczeństw, jakim młodzież nasza ulepo przeciwnej stronie Królestwa, — na Wschodzie, na uniwersytetach rosyjskich: dość wziąć jest w rękę *Głos młodych*, organ młodzieży akademickiej, w Petersburgu wychodzący, aby z przestrachem się przekonać, jak szybko w tych duszach polskość topnieje: wszak oni pisać już po polsku nie umieją!

T. MAJEWSKI.

Zjazd Kółek rolniczych im. Staszyca.

W ruchu ludowym Staszycowców skupiło się przeważnie to, co było śród chłopów junackie, kochające trudność zagadnień i usiłujące sam na sam z nimi się borykać [1]). Usiłowano tam i usiłuje się w dalszym ciągu fakt uobywatelenia się chłopskiego samoistnie od początku dokonać do końca.

Aby tę pracę z całą świadomością celów i środków prowadzić, musiano się przedewszystkiem w stosunku do całokształtu życia narodowego określić. Określano się przez pewną kontrastowość i uświadamianie różnic.

Stąd płynęło owo szorstkie tarcie, ów zaczyn burzy i wrzenia, ów lęk przed ręką z zewnątrz wyciągniętą i brutalną — przemocą czy „opieką“ w danej chwili niepowołaną — wszystko dowody najoczywistsze, że jakaś nowa wartość w narodzie do uświadomienia się samej sobie, a więc do wyższego rozwoju dąży.

Tak się samo dziecko wyrastające w młodzieńca, dotąd zlane w nieświadomą jedność z naturą, i jej procesom biernie podległe, usiłuje uświadomić i poznać swoją samość, swoją odrębność — by się potem znów z naturą świadomie złączyć.

Tak młodzieniec ów lęka się i ucieka przed niepowołanem wtargnięciem obcej pomocy czy opieki, która mu *jego własną* skupioną pracę nad wykuciem swej odrębności przerwie

[1]) Oczywiście jak wszędzie, tak i tam znalazły się żywioły płytkie.

i nigdy już do niej szczerze i naprawdę nawiązać nie pozwoli.

Włościanin swoją odrębność obywatelską, jedyność praw i obowiązków swych usiłował tak samo w tym ruchu sobie uświadomić, by się do ogółu twórczego życia obywatelskiego tym czynem twardym wpisać.

Dziś znak Staszycowy „uznał już się w swojem jestestwie“ [1]) rozpoznał siebie jako wartość, kierunek, dążenie, i określił swoją w tajemniczej Przyrodzie Narodu istność i wartość, swoją w nim jedyność. Z fali życia, w którym chłop nieświadomą był cząstką, on się przez jaskrawe podkreślenie wyodrębnia [2]), aby się z nim *jednocześnie w ciągu całego tego procesu* jako świadoma istność łączyć w jednię — i tożsamość.

Jednym ze świadectw tego procesu jest doniosła uchwała uchwała Zjazdu, w sprawie serwitutowej, która głosi:

„Zważywszy wszystkie okoliczności sprawy, Zjazd Kółek Staszicowskich uznaje za rzecz pożądaną załatwienie sprawy serwitutowej na drodze *dobrowolnego*, *obywatelskiego* porozumienia się stron, i wyraża życzenie jaknajszybszej zamiany istniejących jeszcze serwitutów na zasadzie rzeczowej i sprawiedliwej ekspertyzy. 2) Zjazd wyraża życzenie, żeby we wszystkich naradach dotyczących regulacji serwitutów, brało udział Towarzystwo Kółek Staszicowskich w osobach jego przedstawicieli.“

Oto charakterystyczny ton.

Tego, czego tak usilnie od lat stu dobija się od chłopa starsza brać — chłop Staszycowiec dobił się sam w swojej duszy. On dziś proponuje ochotnie wspólne obywatelskie załatwienie sporu — które dawniej przyjąłby był w pokorze z rąk obcych.

Ta uchwała Zjazdu to — rezultat wysiłku, który obrzucano u nas mianem niskiej i demagogicznej „walki klas“, kontynuowaniem metod komisarzy włościańskich i t. d.

W sprawie serwitutowej zwrócono się do C. Tow. Roln.

Sprawozdanie z działalności Tow. Kółek im. Staszyca wywołało na Zjeździe jego przedstawicieli pewnego rodzaju depresję.

110 działających przeważnie bardzo jędrnie i rzetelnie Kółek [3]), 32 mleczarnie, szczupła garść podjętych przez Staszycowców instytucji i przedsięwzięć, jeden na cały ogół Kółek instruktor, nie zadowoliły słuchaczy. Zdawało im się, że to wszystko maleje, wobec podjętych przed rokiem z górą a niedokonanych wielkich przedsięwzięć: stworzenia syndykatu właścicieli drobnorolnych i zbudowania Domu Ludowego w Warszawie. Potępiano się i gromiono wzajemnie zarzucając sobie ospalstwo, lenistwo, brak obywatelskości. Kto był na pierwszym dniu obrad, temu mogło się snadnie zdawać, że słyszy tętno płaczącego sumienia.

W Polsce niewolno nikomu zarzucać zbytku surowości dla siebie, nadmiaru poczucia odpowiedzialności.

Tego nigdy niedość.

To też nie tych surowych słów samooskarżenia, słyszanych na Zjeździe należy lękać się, ale tego, by one nie stały się dostatecznem za powolność roboty zadośćuczyniem, od trudu ciągłego wymknięciem. Jednocześnie należy odjąć tej surowości dla siebie wszystką gorycz budzącej się wątpliwości, która drgała w pytaniach:

„Czy my wiemy czego chcemy, jeśli tak mało zamiarów udaje nam się w czyn wcielić?“

„Czy dojdziemy do czegośkolwiek“.

Surowość dla siebie, poczucie własnej niedbałości nie może odejmować wiary we własną pracę, entuzjazmu i zarazem rozumnego zdania sobie sprawy, z tego czy zawsze powolność pracy jest w odwrotnym stosunku do jej pomyślności.

Sprawa np. Domu Ludowego nie powinna być poruszana z rwaniem włosów na głowie, tak samo sprawa syndykatu.

Należy mieć cierpliwość w pracy na daleką metę. Takie instytucje, kiedy się je chce drobnymi wysiłkami budować, rość muszą po kilka i kilkanaście lat. O ciągłość wysiłku więcej tu chodzi niż o jego pohopność. Szybko można tworzyć instytucje ludowe tak, jak dziś wszystko, kiedy się ma dużo pieniędzy i prędką (a drogą) fachową pomoc. Taka pomoc i zapomoga może przyjść tylko bądź z wnętrza społeczeństwa od jednostek czy instytucji polskich — bądź ze strony sfer miarodajnych — rządu rosyjskiego.

Wolniej, lecz może trwalej, można tworzyć rzeczy drogą samopomocy, gromadząc kapitały i wychowując fachowców, tą drogą „sami sobie“, która nie jest żadnem klasowym sobkostwem, lecz poprostu techniką pracy wychowawczej i samorządnej. Nie jestem przeciwnikiem bezinteresownego dopomożenia takiej pracy — przyspieszenia jej przez pomoc, czy to ze strony jednostek czy instytucji polskich (sprawa zapomogi rządowej jest bardziej skomplikowana).

Lecz trzeba sobie zdać sprawę z tego, że jeśli bez tej pomocy praca rozwija się wolniej, to bynajmniej jeszcze nie upoważnia do pesymizmu, bo to naturalne następstwo rzeczy.

---

[1]) Mochnacki.

[2]) Kładę nacisk na to, że słowa *wyodrębnia* używam w znaczeniu krańcowo różnem niż go używają przeciwnicy «Zarania» — w znaczeniu które towarzyszy każdemu procesowi uświadamiania się.

[3]) Pracę tę osobno należałoby rozpatrzyć,

Należy tego tylko pilnować, by *trwała* i nie ustawała ani na chwilę. Zjazd dał dwa konkretne wnioski, które powinny pracę Staszycowców pchnąć naprzód i wnioski te w ciągu roku *powinny* być w życie wprowadzone.

Jeden—to wniosek, aby urządzić dwa razy w ciągu roku kursy praktyczne dla kierowników Kółek im. Staszyca (tworzenie zawodowców).

Drugi—aby Kółka opodatkowały się w stosunku do liczby członków (na ogólną sumę 2,000 rubli), a to w celu utrzymania dwóch nowych instruktorów.

Jeśli to zostanie wprowadzone w życie, będzie to już duży krok naprzód w sprawie, której wzrost przyspiesza zaczyn samej tylko szturmującej duszy chłopskiej.

Sprawa zaprowadzenia hypotek włościańskich i sprawa uregulowania handlu zbożem zajmowały Zjazd w sposób bardzo ożywiony.

Momentem końcowym a dramatycznym Zjazdu była mimowolnie wyznana skarga jednego z uczestników, że „dziewczęta nasze, ze szkół gospodarczych już drugi rok nie otrzymują rozgrzeszenia w kościele“ — i w owym jednogłośnym okrzyku tak pełnej spokoju przez cały Zjazd sali, w okrzyku: „Hańba“, po którym cisza dziwna nastąpiła.

Byłże ów okrzyk wyrazem pogardy dla stosowanych w XX wieku metod walki ideowej, czy też wyrazem poczucia krzywdy religijnej tak niezasłużonej? I jedno i drugie zapewne w nim brzmiało.

***

Rozjeżdżającym się na nowy rok pracy Staszycowcom, oby towarzyszyło ogółu polskiego— Dobre Życzenie.

GROMICZ.

Na gorącym uczynku.

Internacjonalizm polega na tym, aby kochać wszystkie ojczyzny, z wyjątkiem własnej.

***

Wilk rzecze do Lisa: Ja ciebie zawsze kochałem.

Lis odpowie Wilkowi: Ja zawsze byłem ci wierny.

Wilk pomyślał sobie: Z przyjaźni tego oszusta odniosę i korzyść i przyjemność

Lis się zastanowił: Jakby tu wyzyskać wierność tego zbója?

W. RZYMOWSKI.

Krytycy i recenzenci.

Teodor Jeske-Choiński.

1.

W konfesjonale siedzi suchy, rozogniony lubieżny mnich-jezuita.

Przed konfesjonałem klęczy pacholę.

— A do ojca czy mówisz: ty? Co, dziecko?

— Tak, ojcze duchowny.

— Ah! ah! ah!.. To bardzo źle... Nie należy nigdy *tykać* rodziców... To oznacza brak szacunku... Na przyszłość, nie będziesz tykał swego ojca... A nie masz, dziecko, siostry?

— Nie, ojcze duchowny.

— Nie... A... a... krewnej?¿

— Nie, ojcze duchowny.

— Także nie... Dobrze!.. Dobrze!.. To doskonale moje dziecko... Ale musisz mieć jakąś przyjaciółkę, tam, w swym miasteczku, jakąś małą towarzyszkę?

— Tak, ojcze duchowny.

— Ah! Tak! tak! To bardzo niebezpieczne... Jak ma na imię?

— Małgorzata.

— Małgorzata? Ah! ah!.. Powiedz-że mi, moje dziecko... czy nie bywało między wami dotykań nieskromnych?.. Wyznaj, gdy zostaliście sami, czyś nie całował jej nigdy?.. A ona, może, także całowała ciebie?..

— Nie wiem.

— Dobrze! dobrze!.. I jakże cię ona całowała?.. W policzek?.. Czy w usta?..

— Nie wiem.

— W usta?.. Ah! Ah! To bardzo poważny, to grzech bardzo poważny! Ale mówno dalej... Czyś nie posuwał się względem niej dalej... Naprzykład... tak... czy nie czułeś chęci... Słowem, czyście wspólnie nie pragnęli zaspokoić pewnej tęsknoty... ah!.. ah!...

. . . .

Zawsze staje mi przed oczyma ta scena z martyrologji *Sebastjana Rocha* [1]), ilekroć pod studjami z dziedziny krytyki literackiej ujrzę te trzy wyrazy: Teodor, Jeske, Choiński.

2.

O p. Teodorze Jeske-Choińskim mówiono z gniewem, z nienawiścią, z zapalczywością, z sarkazmem. Mirjam ongi poił go żółcią. Nowaczyński poił go witryolejem. Brzozowski Stanisław chciał był napchać go siarką, a Jan

[1]) Powieść Oktawjusza Mirbeau.

August Kisielewski pragnął go podpalić, tak nasiarkowanego.

Dość, zaprawdę, dość już spoczęło pogardy i gniewu na dziełach tego pisarza. Gniewu i pogardy, śmiem powiedzieć, całkiem niezasłużonych.

Bo tylko szałem walki i zaślepienia szturmu, jaki *młoda Polska* ongi do wrogich przypuszczała okopów (w których dziś sama błogo zasnęła), da się pojąć pomyłka, jaką najwięksi czasów owych jasnowidze wobec p. Choińskiego popełnili. Nie wyrazy oburzenia mu się należą od nich; tym mniej zaś gromy gniewu i wzgardy. Jego współwyznawcy i towarzysze mogli go byli nie rozumieć: *przeciwnicy zrozumieć go byli powinni.* Powinni go byli odczuć i — ulitować się nad nim... tak...

3.

...jak ja dziś nad jego lituję się męką. Bywają ludzie, których torturę stanowi to, iż znajdują przyjemność w lizaniu cukru przez szybę... Jakże dręcząca to przyjemność!

A przecież Teodor Jeske-Choiński jest niewolnikiem namiętności stokroć bardziej udręczającej: *on lubi lizać grzech przez parawan cnoty!*

4.

Wszystkie jego w zakresie krytyki literackiej studja, szkice i artykuły dają szczytne tej jego męczarni świadectwo.

Exemplum: studjum o „Seksualizmie w powieści polskiej“ [1]).

Owo studjum to — konfesjonał, w którym wije się za kratą świątobliwą kapturem mnisim zduszona lubieżność. A przed kratą konfesjonału przeciąga rozhukana czereda grzechów „Młodej Polski“: czereda przewspaniała, czereda wyzywająca, piekielnie ponętna, bezpokutna, blizka a niedosiężna!...

Kobiety Żeromskiego. Kobiety Zapolskiej. Kobiety Przybyszewskiego. Kobiety Srokowskiego. Kobiety Nałkowskiej: jest czym zaludnić piekło! Zwłaszcza to piekło, które goreje w spowiedniczych oczach krytyka-jezuity.

5.

Autor „Seksualizmu w powieści polskiej“ co drugie słowo wymienia *seksualizm,* co trzecie — *popęd seksualny,* co czwarte — *narządy seksualne,* co piąte *wolna miłość,* a potym już raz po raz, dopóki starczy mu oddechu: *stosunek płciowy, instynkt płciowy, działanie zmysłowe, cynizm rozpusty, miłość, pożądanie, miłość...*

Na przeciągu 100 wierszy pobożnego odcinka w „Kurjerze“ [1]) *popęd płciowy* spotykamy powtórzony... 16 razy; *seksualiści* (zawsze z dołączeniem soczystego przymiotnika) wymienieni 5 razy; raz jeden *podniety ciała* (bez przymiotnika); 7 razy *wolna miłość*; dwa razy *rozkosz* (z doprawą obrzydzenia).

Już z liczebności tych wyrazów, i tych rzeczy nazywanych po imieniu, które są niby trupem zaścielającym pobojowisko, wnosić można, jak zacięty był ten bój, jak zaciekle autor *Seksualizmu* zmaga się z seksualizmem...

6.

Pan Choiński widząc jak mężczyźni i kobiety w powieści polskiej cudzołożą, jak się kochają grzesznie a zapamiętale, chciałby szaty rozedrzeć ze zgrozy, ale nie szaty własne, jak prorocy biblijni: on chciałby szatę rozedrzeć na Tatjanie i wzrokiem od kary piekielnej gorętszym napiętnować to miejsce, które uwiodło Rozłuckiego: gniazdo grzechu i rozkoszy. Ha! z jakąż lubością zmierzyłby ascetyczny krytyk głębię upadku ludzkiego głębokością ponęty, z jakąż mściwą lubością zstąpiłby z mieczem karzącym aż na samo dno pokusy!... Z jakimż tryumfującym zgorszeniem rozdarłby szaty Tatjany!... Z jakimż niebiańskim zgorszeniem przetrząsnąłby wyobraźnię Przybyszewskiego, z jakimż dzikim zachwytem wstydu wdarłby się do fantazji Daniłowskiego, aby na jej fantastycznych drogach, gdzieś w gaju świętym, spotkać się... z Marją Magdaleną, zanim poznała Galilejczyka... nim została świętą...

7.

Albowiem On (przez duże *O*, gdyż w tej chwili do wyżyn symbolu urasta) pochodzi z nieśmiertelnego ludu moralistów. Z ludu, który zamieszkuje Wschód i Zachód, Północ i Południe.

Nie znacie-ż ich? Nie znacie armji moralistów?

Powołaniem ich jest rumienić się.

Zawodem ich — gorszyć się.

Powinnością — oburzać się.

W każdym małżeństwie widzą tylko pole przyszłego wiarołomstwa. W niemowlęciu widzą przyszłego uwodziciela. W dziewczynie dostrzegają tylko sposobność do grzechu dla mężczyzny. Czatują pod drzwiami alkowy, skradają się po pod płotem, szpiegują kwiaty, denuncjują kwitnące bzy, kładą areszt na imaginacje poetów...

I męczą się, i męczą się... całą katuszą męki zadawanej innym.

[1]) Praca w Lipcu r. u. zamieszczona w odcinkach «Kurjera Warszawskiego».

[1]) Patrz rozdział V wyżej nadmienionego studjum.

8.

Rodowi moralistów, do którego należy p. Choiński, mogłoby ulgę przynieść tylko jedno. Tylko jedno mogłoby dać im wyzwolenie z męki. Oto, gdyby w jakimś dniu apokalitycznym, gdyby w jednym dniu wszyscy młodzieńcy świata utracili niewinność, gdyby wszystkie dziewczęta puściły cnotę z dymem, gdyby ludzkość cała, niby potworna lawina ciał, splątanych uściskiem lubieży, stoczyła się w czeluść piekielną: może wtenczas, ale tylko wtenczas, i tylko za tę straszną cenę, doznaliby moraliści ulgi. Uśmierzyłby się wtenczas ich gryzący niepokój. Ustałaby ich drapieżna czujność. Gdyby ostatni kapłan uwiódł ostatnią westalkę na stopniach ostatniego chramu czystości: wtenczas dopiero zamknąłby p. Choiński powieki na swych moralizatorskich oczach i z ulgąby nieskończoną szepnął: „Dokonało się. Nareszcie mogę spokojnie zasnąć. Już najpiękniejsza kobieta nie narazi swej cnoty. Niebo nie ma już nic do stracenia. Piekło już nic nie ma do zdobycia. Wzrok moralisty nie znajdzie już nic, czymby się mógł zgorszyć. Serce moralisty nie znajdzie nic, czymby się mogło dosyta oburzyć. A więc oczy me: zgaśnijcie! A więc, serce me: przestań bić na trwogę. Niechaj sen mnie ukoi nieprzespany. A pomnijcie: grobowiec mój stawić tam, gdzie ostatnia spełniona defloracja."

9.

Tragi-śmiesznością autora „Seksualizmu w powieści polskiej" jest to, co stanowi tragiśmieszność wszystkich Katonów moralizmu: marzą o przezwyciężeniu płci na drogach wyrzeczenia, gdy tymczasem życie im wskazuje najczęściej, że do zwycięstwa nad płcią dochodzi się jedynie poprzez... morze rozpusty.

Biedzą swe głowy rozpalone nad zagadnieniem: co istniało wprzódy? Poczucie wstydu czy... figowy listek? Imperatyw kategoryczny, czy też... pantalony kąpielowe: gdy doświadczenie poprzez ich życie własne mówi im, że imperatyw kategoryczny nieraz służy tylko na to, aby na nim, jak na ćwieku, pantalony kąpielowe zawieszać...

A. D.

Skry.

Sława literacka — jak tuberoza — rośnie najlepiej na ptasim nawozie: dlatego snadź młodzi literaci tak bardzo ubiegają się o względy Wilhelma Feldmana.

HENRYK LEŚNIEWSKI.

Hosanna.

Z CYKLU «MIASTO».

Szaloną pieśń, szaloną bytu pieśń
Wam śpiewać będę,
Narodzin bólu nowych form
Kolędę...
O pooranych czołach w dziesiątki sinych [bruzd,
O rękach skoszlawionych,
O śmiechu smutnych ust,
O marach, co śród maszyn huku,
Śród kół i trybów snują się,
I o tych — (nas) — zamkniętych w cichą noc
W ciasnotę dusznych mieszkań.
. . . .
. . . .
. . . .
Nam dobrze pono, bo cisza jest...
Bo wojen niema, w pochwach miecz...
Lecz co wojen i co walk
Po ciasnych izbach wielkich miast!...
O, jakże walczą ludzie dziś o chleba kęs!
Słyszycie głuchy huk?
To ciała gdzieś padają
Gdzieś w polu... gdzieś na bruk...
I łzy z pod męzkich rzęs,
Jak sznur osłabłych gwiazd!...
A potem kwef i drżenie świec...
I inni po nich idą w dal
I wzwyż...
Choć życie wbija ich na pal,
Niosą krzyż...
I idą...
Dokąd, poco?
Dokąd idą przez męczeństwo,
Dokąd po przez rwane sny,
Dokąd przez ten ból i łzy,
Dokąd przez ten kwef
I chór drgających świec
I księży śpiew?
By potem tak, jak tamci, w piachu legdz!
Dokąd idą przez męczeństwo?
W jedyną wartość, w jedyny cel:
W nadczłowieczeństwo!
W to jedno idziem wszyscy, w ten jeden [jasny punkt —
W przecudną srebrną dali biel...

Zbawiciel był już raz,
I cuda Jego trwają,
A zasie z nas,
Z nas przyjdą nowi
Ludzkości zbawiciele...
Śpiewajcie więc walczącym,
Śpiewajcie pieśń zwalczonym,
Nawozom ludzkich ciał
Hosanny...
Bo w nich kiełkuje cud,
Cud tli się bezustanny:
Nasz cały cel, nasz cały trud:
Ten przyszły człowiek
Ten przyszły lud!...

M. DĄBROWSKA.

Janek.

Jego pamięci.

Janek był najcudowniejszym chłopakiem w świecie.

Miał trzy lata i pół. Przypomnicie sobie znajomych chłopaczków w tymże wieku i pomyślicie, że to jeszcze bobusie, ledwo umiejące mówić.

Ale nie Janek. Ojciec mówił o nim: „Starczy za ośmiolatka". I tak było w istocie.

Duży, barczysty a zgrabny, nosił wysoko swoją okrągłą mazurską piękną głowę.

Włosy szare, jak święta ziemia — smugi na nich od słońca liljowe (chadzał bez kapelusza) niby na świeżej roli. A zbliska były te włosy lśniące i cieńsze od popielatego jedwabiu. Oczy modre. Twarz złota i różowa, mieniąca się, wesoła, zuchowata.

I silny. Poprostu urodził się siłaczem. Chwytał i podnosił jedną ręką pękate krzesła z salonu i wynosił je sobie do ogrodu. Tam dosiadał owych rumaków, a wszystkie były niespokojne i narowiste. Leciały poprostu w cwał. Wiatr swiszczał w uszach, dwór i ogród pędziły galopem przed oczyma. Szumiał olbrzymi las, las do którego nigdy dojechać nie było można, czy też może krew szumiała w szalonych tętnicach Janka.

Kiedy Janek miał niespełna dwa lata, ojciec wziął go na prawdziwego konia. Janek oszalał.

— Tuku tuku — tuku —

— tuku tuku — tuku — bieży koń po kamieniach wjazdowej alei. Wiosna. Na drzewach pełno młodziutkich seledynowych liści. Między złotemi gałęźmi płynie jakaś ciemnobłękitna woda. To niebo.

A dalej łąka. Na łące złote gwiazdeczki. To kwiaty. I znów woda — ale teraz już prawdziwa.

Chałupy aż podskakują z radości w Jankowych oczach.

Przy drodze stał oberwany chłopak i grał na organkach.

Janek krzyczał z radości, a głos miał nie dziecinny, pełny, niski, drgający.

— Hop!

— I hop! Hop!

Ojciec wołał:

— Gdzie ty jedziesz, Jasiu?

I obaj razem krzyczeli:

— Na wojenkę! Na wojenkę, Kasiu! —

Organki brzęczały już z daleka jak komar przy uchu. Janek objął konia za szyję, a w koniu coś chrzęści i szumi — Ż-ż-uch — Żżuch — — —

Ojciec trzyma syna mocną ręką przez pierś, serce mu w garść uchwycił. A za sobą czuje Janek pochyloną pierś ojca i „bęc, bęc!" słyszy jak wali jego męskie serce.

Janek płakał ze szczęścia.

Ojciec przekazał Jankowi wszystko najlepsze ze swojego życia. Ojciec-powstaniec pod Zurominem był posiekany, pocięty, postrzelany. Leczył się długie, długie miesiące, a ledwo zwłókł się z łóżka ostrzygli go i wzięli do wojska.

Znieważył oficera przy pierwszem grubjaństwie, uciekł i tułał się dziesięć lat za granicą. Imał się tam każdego zajęcia, by wyżyć i stąd została mu ta śliczna rzecz, że wszystko potrafił sam zrobić.

Janek nie był tułaczem ani bohaterem przygód, a jednak wszystko to zdawało się w nim istnieć i być, szumieć i tryskać z niego wesołym rozmachem, w jakim żył ustawicznie.

Gdy miał trzy lata, biegał do stajni i kiełznał konie z dużemi chłopakami. Z łatwością podnosił, przerzucał przez grzbiet i przytraczał ciężkie półszorki, tręzle, popręgi. Zaprzyjaźnił się Janek z jednym chłopakiem, Michałem, ośmiolatkiem, tym co grał na organkach. Pasją jego stały się te organki.

Sam się na nich nauczył grać - i tak je sobie z ust do ust podawali. Ale, najchętniej Janek słuchał, a potem śpiewał. Śpiewał i huczał swym cudnym niskim głosem, bez słów i bez melodji. A w tym krzykliwym zaczepnym śpiewie wciąż się powtarzał motyw, ustawicznie przez ojca nuconej pieśni: „Oto dziś dzień .... i chwały".

Ale największą pasją Janka został Michałek.

Cudowny druh był z tego Janka. Przyjaciele nie odstępowali się prawie. Jeździli razem „do roboty“ i „z roboty“ na fornalskich koniach, i razem przepadali na całe dnie w polach, łąkach i lasach.

Nawoływali się z wilgami i kosami — krzyczeli z czajkami, i przed zachodem podpatrywali dudki, hukając: hut — hut.

Janek nie chciał jadać z rodzicami przy stole. Musiał jadać z Michałem. Można było Michała brać do stołu, ale Janek nie dał. Chciał jadać z Michałem sam na sam, jakby już byli przyjaciółmi w dalekiem polu na samotnej wojence, gdzie się na jednej kulbace sypia i z jednej misy jada.

Janek wybrał miejsce. Było to w sieni domu, na skręcie schodów, wiodących na górę. Tam siadali we dwóch i jedli z jednego talerza, nigdy inaczej. Michał przynosił skibę swego razowego chleba i dawał go Jankowi. Wzamian Janek dawał mu wszystek swój biały chleb z masłem, i tak się wzajem podejmowali słodkim kołaczem przyjaźni. W ciągu obiadu Janek wbiegał wysoko na schody i krzyczał w czarną czeluść poddasza. Było to tak, jakby wyzywał nieznanego wroga.

Matka szalała za Jankiem.

— Janek, synuś najdroższy? — pytała.

— Nie.

— Janek, słoneczko mamusi?

— Nie.

— A kto?

— Janek sam — wołał i rzucał się matce na szyję, na dowód, że „Janek-Sam“ kocha mocno, dziko i na zawsze.

W trzecim roku życia nie miał już żadnej niańki, i śmiech bierze pomyśleć jakby to on z niańką wyglądał.

Biła z niego wesoła odwaga i poczucie siły. Matka była lękliwa i nerwowa, a jednak godziła się bez zatrzeżeń na to, że Janek wędrował sam daleko w pole, jeździł konno i nie bał się chodzić o zmroku.

Zresztą wiadomo było, że gdziekolwiek chłopak się znajdzie, baczy nań zdala, nad skwarną robotą pól schylony, ojciec. Gdy Jankowi nie pozwolono wypaść w pole, „bo deszcz lał jak z cebra“ — chłopak imał się w domu jakiejś twardej ręcznej roboty. Nie zważając na drzazgi raniące mu palce, budował z przyniesionych przez Michała desek mosty od krzesła do krzesła, przechodził po nich, załamywał się, spadał; i z rozciętem czołem lub sińcem pod oczami budował nowy „żeby można było przejść“ — Raz w ojca pokoju wbił w podłogę ze sto gwoździków — bo „deska skrzypiała, i Tatuś się załamie i wpadnie do piekła.“ Przez wiele, wiele lat, aż do chwili, kiedyśmy z tego domu wyjeżdżali na zawsze, ojciec chronił gwoździki, usiewające podłogę, nakształt gwiazdek, i patrzył na tę psotę jak na drogą po wspaniałym chłopaku pamiątkę.

Janek wstawał o świcie, wiedziony gorączkową ciekawością tego, co się dzieje. Zdawało mu się, że świat płynie i ucieka i że każda chwila snu odbiera mu go na zawsze. A światem było wszystko do czego Janek mógł zastosować słowo: „poradzem.“

Michał patrzył na blado-złote czereśnie.

„Poradzisz wejść na drzewo? — pytał. „Poradzem!“ krzyczał Janek i probował.

Wesoły był jak młode słońce, ale miewał czasem chwile szczególnego przerażenia.

Raz jesienią stał obok klombu i patrzył na czerwoną zorzę, od której wiało zimnem. Twarz miał od blasku szkarłatną i osłupiałe oczy. Wreszcie krzyknął strasznie, jak dobijana czajka, a gdy matka nadbiegła powiedział nieswoim głosem:

— Zimny ogień się pali!...

Jednego dnia był w pokoju i rozmawiał z matką, pokazując jej magnackie zbiory kasztanów.

Wtem koło okien zatętniało i rozległo się basowe, wściekłe:

— Wow, wow — brytana Wiernego.

I krzyk Michała.

Jednym skokiem Janek wypadł przez niskie okno na dwór.

Michał przyszedł mu coć powiedzieć. Zły brytan, którego zapomniano uwiązać rzucił się na chłopaka, i przewrócił.

W tej samej chwili Janek owinął się z krzykiem naokoło szyi psa, i — tak przyszła na niego ta pierwsza dziecinna przygoda. Uczuł ogromny pysk psa na swojej twarzy i przejmujący ból.

Upadł na przyjaciela, zasłaniając go sobą i wołał z płaczem:

— Michał — Michał!

Kiedy go matka niosła na ręku do domu płacząc także, krew ciekła mu po twarzy i wołał:

— Nie bojem się!

— Nie bojem się!

Psa wywieźli natychmiast. Potem po całym domu słychać było straszny krzyk ojca: „Gdzie jest Wierny?“ — Ale Wiernego już nie było.

Jankowi została z tego wypadku surowa przez policzek blizna.

Przyszła zima.

Wszystkie drogi i pola zawalił śnieg biało-błękitny. Zimna lśniąca cisza ogarnęła cały świat.

Janek rósł i mężniał. Miał w krótce zacząć piąty rok życia.

Ojciec miał teraz więcej czasu, i mógł się dużo zajmować Jankiem. Zajmował się w sposób prosty, nieuczony i dziarski.

I warjował z radości, bo wszyscy mówili, że ma syna nad synów. Chodził po pokojach i śpiewał wesoło smutną żołnierską piosenkę.

— Trąbka trąbi tra ta-ta-ta,
nie mam ojca ani brata,
ni żadnego przyjaciela,
tylko Boga — Zbawiciela!

I opowiadał Jankowi jak wędrował przez zaśnieżone lasy, jak się krył i walczył rozpacznie, jak przymierał z głodu, chłodu i ran, a teraz ma syna, syna nad synów — a teraz ma syna Janka.

Pewnego dnia ojciec kazał zaprządz do sanek i powiózł Janka na spacer. Sami we dwóch, bez matki, — kawalerska przejażdżka. Janek stał w sankach i kłaniał się matce granatową konfederatką.

Sanki świsnęły po wyślizganym śniegu. Mróz był dobry ipęd uderzył Janka w twarz, jak dziesięć noży. Blizna na policzku lekko zbielała, oczy ścięły się z zachwytu w modre kryształy.

Bo na polach zdawało się leżeć tysiąc drogich kamieni, albo więcej; a białe obłoki szklistych pyłów były na drzewach za liście. Janek rozchylił usta.

— Oddycham aż do serca! — krzyknął i uczuł w sercu zimny dźwięk drogich śnieżnych kamieni. Wtedy to chwycił zdradzieką śmierć w zuchwałe usta.

— Janek, masz usta otwarte. Zamknij. Oddychaj nosem! — zawołał ojciec.

Janek zamknął usta i oddychał nosem.

Ojciec otulał go futrem, zasłaniał usta od wiatru, ale chłopak zdzierał wszystko z żądnej świata twarzy i „poradził" wytrzymać na wietrze.

— Janek, ładnie?

Milczał.

— Nic nie mówisz?

— Mówię duchem.

I potym znów:

— Czy tatuś nie słyszy jak ja mówię duchem?

— Myślisz chyba?

Tatuś patrzył przed siebie małymi modrymi oczyma, które były poczciwe i bardziej dziecinne niż Jankowe.

Wracali. Z kasztanów padały na nich płaty śniegu, jak miękkie białe pióra.

— Będzie odwilż powiedział ojciec. Janek rozgadał się i rozdźwięczał swym miłym, metalicznym głosem.

Na drugi dzień wieczorem Janek miał czterdzieści stopni gorączki. Zrywał się, szamotał i walczył jak szaleniec z nieznanym wrogiem.

Ale mimo że pałał, był przytomny. Krzyczał: „Nie chcem!" i serca się ściskały, bo nie chciał nikt.

Przyjechał stary doktór, który uwielbiał Janka. Nie umiał określić choroby. Śmiał się. Wiedział że Janek jest zahartowany i chodzi boso po śniegu. Dziwił się i mówił: „Może febra. E, nic mu nie będzie. Taki silny junak."

W istocie gorączka minęła. Junak zerwał się, ubrał i słaniał się po pokoju w jaknajlepszym humorze. Zapędził się do sieni, ale ojciec zamknął drzwi wchodowe na zatrzask. Przez kuchnię matka nie dała, i zakrzyczały go służące. W dwa dni potym biegał już po ogrodzie jak szalony. Po czterech dniach gorączka chwyciła go nagle i beznadziejnie.

Dyfteryt.

Ojciec i matka tracili przytomność i nie mogli nawet płakać.

Chłopak był przytomny i pocieszał ich. Kładziono mu gorące kompresy, pędzlowano w gardle i wlewano lekarstw bez miary. Poddawał się wszystkiemu skwapliwie i widać było, że walczy każdym ruchem. Marszczył płowe brwi, modremi oczyma ciskał pioruny. Skakał na łóżku, usiłował się bawić i pobudzać rodziców do śmiechu.

Nad wieczorem doktór stracił nadzieję. O zmroku przyszło konanie.

Zmrok widać było przez okna siny, jak gangrena. Wydmy śnieżne dęły się jak fioletowa opuchlizna. Wschodził księżyc.

W domu zapanowała dziwna cisza. Janek przeczytał w twarzach wyrok i przerwał ciszę, krzycząc:

— Ja nie umrem! Mamusiu ja nie umrem!

Potem zastygł w dusznym milczeniu i patrzył w okno, za którym jego kochany świat siniał tak okropnie. Około siódmej wieczorem kazał sobie przynieść do łóżka małą roczną siostrę (ja byłam tą siostrą), którą zwykł był nosić na swoich mocnych rękach, jak lalkę. Było to jego ostatnie życzenie. A taka była w nim niezłomność, i taka jakaś władza w tym chłopaku, że mimo straszliwość choroby, przyniesiono mu siostrę. Bawił się z nią i całował. Potym odsunął się i zapadł w sen. Matkę zapewnił łagodnie:

— Nie umrem, mamusiu.

Był tego pewien.

Podczas gdy Janek spał, ojciec stał w progu i całe życie jego wisiało na małych purpurowych wargach syna.

Około dziesiątej Janek zaczął się dusić.

Doktór rzucił się do ojca i krzyczał, żeby brać Janka do miasta, co koń wyskoczy, dla przecięcia gardła. — Wszystko jedno! Tu i tak umrze! — wołał.

Ojciec jak pijany do okna — a tam piętnacie stopni mrozu!

A miał jeszcze, miał jeszcze warjacką nadzieję, jęczał i nie słuchał doktora. Wypadł z pokoju na dwór, w ogród, w mróz—wyzywał wszystkich wrogów Janka.

Matkę odciągnęli. Doktór płakał w drugim pokoju.

Janek skonał sam.

* * *

Na grobie Janka wyrosły dwie akacje i kwitły piękniej niż inne, i mocniej pachniały.

Śród ich gałęzi wilgi gwizdały głośniej i kukułki weselej kukały, niż gdzieindziej.

Jakby w tych odpornych, twardych a wonnych drzewach rosła wesoła dusza Janka.

MIECZYSŁAW LIMANOWSKI.

Z teatru dla Teatru.

Teatr Polski podał „Balladynę“ na tle siedmiu dekoracji Ruszczyca: lasu z domkiem pustelnika, łąki nad Gopłem, izby w chacie wdowy, sali i wielkiej hali jadalnej w zamku Kirkora, namiotu Balladyny i szczytu gnieźnieńskiej fortecy.

Przyzwyczailiśmy się widzieć w obrazach Ruszczyca stylizacje podniesione rozmachem do symbolicznych syntez — w całej twórczości wielkiego, polskiego malarza takie stylizacje były krwią i kością; w Teatrze Polskim uderzył nas brak konsekwencji w artystycznem ujęciu: różnorodność, prawdziwa heterogeniczność stylów artystycznych, chwilami w prost bezstylowość, ujawniała się przed naszemi oczyma. W pierwszej odsłonie obok stylizacji tryumfował najgrubszy naturalizm. Woda prawdziwa rozlewała się zwierciadłem ciemnem w kałuży przed kolumnadą stylizowanych pni, stanowiących, same dla siebie, wysoce artystyczny wykładnik malarsko pojętego lasu. Obok wody prawdziwa brzoza, kilka kroków dalej nad kolumnadą, kulisowo zwieszone płótna, zatem malowane gałęzie, oto mocno mieszańcowy charakter pierwszej dekoracji. Jeszcze gorszą była dekoracja drugiej odsłony. Prawdziwa woda została tu zastąpioną malowanem płótnem, podnoszącem się i opadającym w ciągu akcji. Malowane piany na płótnie, zatem nieruchome, falując tam i z powrotem, monstrualnie przedrzeźniały naturę prawdziwych pian i jezior. Przed płótnem, kępy trawy rozesłanej na ziemi tworzyły naturalistyczny dywan między drzewami malowanemi na kulisach, zatem na płótnach. Drzewa te były chwilami wprost potworne (w czwartej odsłonie), zwłaszcza dla widzów na balkonie i galerji: efekty brutalnego, nieznanego w naturze grynszpanu kłóciły się z brudnym amarantem wody przy wschodzie słońca. Dekoracje wymienione są cofnięciem się absolutnem w stosunku do tego co Franciszek Siedlecki zdobył w teatrze Solskiego dla „Balladyny“.

Lepsze, aczkolwiek bez głębszej myśli są dekoracje następne: jedynie hala jadalna w zamku Kirkora jest malarsko efektowną — graniasta absyda ze złoconym stołem i czerwonym dywanem na wzniesionym podium przypomina prymitywy weneckie czy florenckie. Istotnie twórczą dekoracją jest tylko ostatnia, „ów wieżycowy łeb królewskiego zamczyska, ów dumny łeb kamienny pełny kutych schodów, ów z głazów wyciosany wierzch ludzkiej potęgi, ów trudno dostępny wierzch, na który się wydostała idąca po zbrodniach Balladyna“, jak się barwnie wyraził Wacław Grubiński. W tej dekoracji Ruszczyc jest sobą, jest wielkim malarzem, który umie wypowiadać syntetyczne myśli i ujmować głębokie symbole w jednolitą artystyczną formę.

Niezależnie od wartości malarskiej, dekoracje Ruszczyca są wysoce nieteatralne: hamują one bowiem akcję i stanowią przeszkodę dla istotnie twórczej reżyserji.

Woda prawdziwa (ciemna, podmalowana szeroka płaska miedniczka zajmująca znaczną część sceny) pozwala prowadzić akcję tylko na dwóch wązkich brzeżkach... przez to czynić musi tę akcję niemalowniczą i powiedzmy wprost nudną. Trawy nad Gopłem, niepozwalaja znowu aktorom stąpać pewnie: zamiast skupić się w grze muszą oni (zwłaszcza Goplana, także Balladyna) uważać, aby nie przewrócili się na naturalistycznie rozłożonych kępach, sterczących grudkami jak zielska na mokradłach. Hala jadalna w zamku Kirkora jest znowu dla akcji zkądinąd wysoce fatalna. Widmo Aliny ukazuje się za oknem w głębi sceny, zatem przy ściemnieniu całej sceny — uczestnicy uczty udają, że ani ściemnienia ani Aliny nie zauważyli; Balladyny zaś gra odbywa się w ciemności całkowitej i tyłem do publiczności. Galeryjka w tej sali każe czynić Balladynie w następnej scenie długą drogę zanim dostanie się do schodów wiodących na wieżę. Taka droga (prawdziwa podróż!) pozbawić musi znowu Balladynę skupienia w gestach, których wymaga jędrnie i piorunowo zwarta akcja. Ostatnia dekoracja, szczyt fortecy gnieźnieńskiej nie pozwala znowu wyinscenizować piorunu i z tym piorunem związanego pogromu Balladyny. Z chmury bowiem, choćby nie wiem jak stylizowanej na płótnie, wiszącej zatem od początku nieruchomie, nie może nagle wypaść piorun zabójczy, piorun tego Boga, który jest Bogiem Słowackiego [1]).

Dekoracje Ruszczyca nie rozwiązały nic nowego w „Balladynie“ — zepchnęły natomiast „Balladynę“ w kakofonię stylów: widz też wychodząc z teatru po przedstawieniu nie wie co sądzić o sztuce — nie wie, czy przed oczyma jego przesuwała się tragedja tu i owdzie podmalowana baśnią „Tysiąc i jednej nocy“ czy może feerja, czy może wreszcie operowa cacanka (ach, ta muzyczka z „Balladyny“!) z farbką Szekspira?

Brak stylu jest dla sztuki zawsze i wszędzie zabójczy. „Juljusz Cezar“ w Teatrze Polskim miał styl, był to styl naturalistyczny, na który można się zgodzić lub nie, ale miał styl, zatem charakter, i stąd się podobał. „Balladyna“ Słowackiego w dekoracjach Ruszczyca, jako całość

---

[1]) W poprzednim artykule przedstawiłem konieczność pojawienia się Goplany w chmurze przy końcu sztuki. Na innem miejscu postaram się niebawem przedstawić, jak Goplana (żywioł zbiorowy = natura) daje się istotnie rozłożyć już w ciągu samej akcji, i to w trzecim akcie, na dwa składniki: na samą Goplanę (białą i dziewiczą do końca) oraz chmurę czarną, erynjową, z której wypadnie piorun, symbol syntetycznie rozwiązującej się akcji dyonyzyjskiej.

nie posiada żadnego charakteru: charakter ma tylko ostatnia odsłona i to tylko przez chwilę. Teatralnie największym błędem Ruszczyca jest to, że tworzył swe dekoracje niezależnie od zespołu grającego... bez myśli i troski o tym zespole. Z zespołu, przedewszystkiem Wysocka zasługiwała na wszelkie względy.

Stanisława Wysocka należy do owej familji genjalnych aktorów, którzy całą uwagę widza umieją skupiać na sobie niepodzielnie i wyłącznie. Na tle dzisiejszej epoki Wysocka jest do szpiku kości menadą w żywiołowych swych gestach... posiada ona linje i falowania barwnego tyazosu z amfor i kykliksów greckich. Dla wielkiej artystki, nie dającej się niczem zastąpić, należało w „Balladynie" dekoracje tworzyć, podkreślające każden gest; tło zdolne zdwajać nie zaś zamazywać i gubić genjalną grę.

Wejście Balladyny do chaty, owe gesty nierozbudzonej jeszcze pantery... scena czesania warkoczy i zerkania się w lustro... mord, który nie tyle jest mordem przez nóż, ile przez rozszarpanie... krzyk menadowy, prawie kraczący nad trupem... ścieranie ręką demonicznej plamy na czole... wzbieranie jadu wewnętrznego przy fanalach sali kirkorowej... śmiertelne ukąszenie (przez sztylet) Gralona... zdrętwiałość i porywanie się czarnym fatalistycznym krzykiem ze sieci rozpiętej niewidzialnie, przez fujarkowe granie... owo zatrucie chleba i podanie tegoż chleba Kostrynowi (arcydzieło samo dla siebie!)... wreszcie owo zwalenie się głową królewską w dół po schodach polskiego Towru... są to nie obrazy luźne i oderwane od siebie, niezależnie od siebie skomponowane, ale *figury tańca*... dosłownie tańca menady po przez kalejdoskop barwnych scen Słowackiego.

Przebogaty jest świat aktorów polskich: gra wszystkiemi odcieniami i barwami: w Wysockiej świat ten posiada *żywioł grecki*, czystość rasową orszaku mainestai.

Na tle dekoracji Ruszczyca, gra Wysockiej nie ujawniała się w całej okazałości: dekoracje zabijały tę grę. Jakżeż mogła genjalna artystka skupić swe siły i wykonywać niepodzielnie i żywiołowo ów tan menady w scenie mordu, kiedy musiała co chwila o tem myśleć, aby nie przewrócić się po kępach naturalistycznie ujętej łąki; jakżeż mogła ujawnić zachłanne wyciągnięcie rąk do Kostryna i całą burzę w sercu, kiedy jej dano tylko wązki skrawek dla ruchu w akcji, wymagającej szerokiej przestrzeni (u Słowackiego: sala *pyszna* w zamku Kirkora); jakżeż mogła znowu w scenie mordu Grabca dać skupioną mimikę gry, kiedy jej kazano poruszać się ku wieży przez salę a potem przez długą galeryjkę, i przez to rozwodnić skupioną mimikę,

Dekorator jest od tego, aby nie tylko dał godne tło dla samego dzieła granego, musi on dbać o to, aby w scenach skupiania się, dekoracja też skupiała się, a w scenach zatracania się lub szukania, rozstępowała się... musi on ograniczać przestrzeń lub rozszerzać ją tak dobrze, jak ujmować ją plastycznie, musi zatem w całem znaczeniu organizować przestrzenny rytm dla zmieniającej się wciąż akcji. Reżyser układa obraz i wprowadza go w ruch, ale dekorator, na inscenizatorze oparty, określa zasadniczy, podstawowy plan: układa plan strategiczny dla dynamiki, mającej wzejść i rozwijać się.

Książki nadesłane do Redakcji.

Broder Christiansen: «Filozofja Sztuki». Biblioteka estetyczna. Warszawa 1914 — F. Hoesick. Kraków—S. A. Krzyżanowski. Przekład Zdzisława Milewskiego. Str. 262.

Alicja Szamota: «Popielisko». Powieść współczesna. Warszawa 1914. Nakładem kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Składy główne: Warszawa—Gebethner i Wolff. Kraków—G. Gebethner i Sp. Str. 246.

Artur Gruszecki: «Przebudzenie». Powieść współczesna. Warszawa 1914. Nakładem kasy przezorności i pomocy warszawskich pomocników księgarskich. Składy główne: Warszawa—Gebethner i Wolff, Kraków—Gebethner i Sp. Str. 480.

Władysław Gacki: «Na posterunku». Szkice poświęcone prowincji. Serja I. Z przedmową Stanisława Brzozowskiego. 1914. Warszawa Skład gł. w księgarni F. Hoesicka. Odbito czcionkami drukarni braci Detrychów w Płocku. Str. 190.

Anatol Krzyżanowski: «Promień Boży». Powieść współczesna. Nakładem księgarni Leona Idzikowskiego. Kijów—Warszawa 1914. Str. 470.

Konrad Chmielewski: «Pokłosie belferki». Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Warszawa, Skład główny w księgarni E. Wendego. Str.

Juljusz Kaden. «Zbytki». Nowele: «Prorok, — Dostatek, — Powoje, — Baba, — Gra, — Spowiedź, — Panicze, — Chłopiec, — Wspomnienie. — Książka, — Mieszkanie, — Dwie niewiasty, — Fijołek». Str. 224 Kraków 1914. Spółka nakładowa «Książka». Składy główne: Warszawa, — J. Mortkowicz, Lwów, — H. Altenberg.

Dr. Paweł Deussen: «Zarys filozofji indywidualnej». Wydawnictwo Polskiego Towarzystwa Filozoficznego. Str. 136. Lwów, 1914.

Gustaw Flaubert: «Trzy opowieści». Przekład i słowa wstępne Wacława Rogowicza. Str. 180. Wydawnictwo «Muzy». Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Warszawa, 1914. Skład główny w księgarni E. Wendego.

Wacław Sieroszewski: «Nowele»: Powrót — Wachlarz japoński. — Jan Gryf Mostowski budował młyn. Kraków 1914. Sp. nakładowa «Książka». Składy główne. Warszawa, J. Mortkowicz. Lwów — H. Altenberg Str. 270.

Melitta: «Zachód». Powieść. Warszawa 1914. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Str. 250. Cena rb. 1 kop. 80.

Prenumerata PRAWDY wraz z bezpłatnym dodatkiem w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odn. do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10. Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Redaktor przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki i soboty od 1-ej do 2-ej. Rękopisów nie odsyła się.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

Ogłoszenia po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy (strona zawiera 4 szpalty).

Dzieła Ignacego Radlińskiego

Przeszłość w Teraźniejszości, zbiór dociekań i rozważań społeczno-naukowych.

Historja nauki o człowieku.

Prorocy hebrajscy wobec krytyki i dziejów.

Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie: Księga wstępna do literatury apokryficznej w Polsce.

Apokryfy judaistyczno-chrześcijańskie w polskich przeróbkach.

Spinoza, rzecz historyczno-społeczna.

Dzieje jednego Boga.

Dzieje jednego z Synów Bożych.

Na przełomie dziejowym: początki piśmiennictwa judaistyczno-chrześcijańskiego.

Dwa dokumenty ludzkości: dziesięcioro przykazań Bożych i deklaracja praw człowieka.

Katolicyzm, Modernizm i Myśl Wolna.

Jezus, Paweł, Spinoza. Cena rb. 3.

We wszystkich księgarniach.

Czem Jest Straż?

STRAŻ jest jedynem polskiem pismem w Ameryce, które broni szczerze i otwarcie ludu polskiego przed zachłannością wrogich narodowi naszemu dygnitarzy kościoła Rzymskiego.

STRAŻ wskazuje ludowi nowe drogi w tej walce i jedynie skuteczny sposób obrony przed naszą zgubą.

STRAŻ jest pismem ludowem, robotniczem i rozumny polski robotnik powinien to pismo czytać.

STRAŻ pisze to, czego żadne inne pismo nie pisze tak jasno, to jest **PRAWDĘ.**

Bracia Robotnicy Czytajcie i Rozszerzajcie Straż

STRAŻ

1002 Pittston Avenue. **SCRANTON, PA.**

PISMA

Aleksandra Świętochowskiego

TOM I: Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły. **Rb. 1 k. 50.**

TOM II: Tragikomedja prawdy: On i ona. Z pamiętnika, Sam sobie, Moja głowa, Klub szachistów, Ona, Testament Alego, Starzec i dziecię, Cholera w Neapolu. **Rb. 1 k. 20.**

TOM III: Bajki, krajobrazy, Dwugłos miłości, Lew kamienny, Wesele Satyra, Hymn niemych, Strachy Pentelikonu, Dafte, Dwaj filozofowie, Dwa widma, Nad grobem, Asbe. **Rb. 1 k. 50.**

TOM IV: Piękna, Aspazja. **Rb. 1 k. 50.**

TOM V: Trylogja. Nieśmiertelne dusze: Ojciec Makary, Aurelji Wiszar, Regina. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VI: Antea, Na targu, Hia, Pauzaniasz, Poddanka, Błazen, Za maską, Dachówka. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VII: Duchy, trzy części. **Rb. 1 k. 50.**

TOM VIII: Duchy, część 4, 5, 6. **Rb. 2.**

Do nabycia w Administracji *Prawdy.*

Redaktor: **Wincenty Rzymowski.** Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk L. Bogusławskiego, Warszawa, S-tokrzyska 11.